

## Opowieść Świąteczna — swistakos

**Od autora:** Takie małe opowiadanko dla przypomnienia sobie Świąt. :)

---

W tym roku Święta zapowiadały się pochmurnie. Za oknem na niebie pełzły nisko zawieszony szaro-czarne chmury zwiastując niechybny deszcz, lub może coś jeszcze gorszego. Na potwierdzenie tego usłyszał w oddali grzmot. Starszy pan patrzył na nieciekawą powłokę nieboskłonu z dezaprobatą. Bardzo nie lubił takiej aury, zwłaszcza w okresie świątecznym. Krótko przystrzyżone, rzadkie siwe włosy miał gładko przyczesane, śnieżnobiałą brodę równo przyciętą i zgolone wąsy. Wstał z fotela, powolnym starczym krokiem podszedł do drzwi prowadzących do salonu i otworzył je.

Przy świątecznie zastawionym stole siedzieli goście – większość jego rodziny, wyraźnie czekali na niego.

- Jest nasz dziadek – rzekła jego najstarsza córka.

Natalia, bowiem tak miała na imię, była czterdziestodwuletnią osobą. Jej szczupłą figurę okrywała jasna bluzka i ciemne spodnie, w uszach tkwiły małe srebrne kolczyki. Skinęła lekko na starszego pana, jakby chcąc go przynaglić do pośpiechu. Ten zaś, nie zwracając na to uwagi, spokojnie usadowił się na przygotowanym dla niego miejscu.

- Możemy zaczynać? – z kolei syn zwrócił się do ojca.

Zagadnięty potakująco skinął głową. Rozpoczęła się Wieczera Świąteczna. Po odmówionej uroczystej modlitwie i podzieleniu się opłatkiem, oraz obowiązkowym złożeniu sobie życzeń, zasiedli do jedzenia. Śniadanie trwało dość długo, gdy skończyli, siedzieli nadal przy stole dyskutując o różnych sprawach.

- A może dziadek coś by opowiedział? – spytała jasnowłosa wnuczka.

- Dziadku opowiedz coś! – zaczęły prosić pozostałe dzieci.

Starszy pan uniósł rękę. Był to od dawien dawna niepisany symbol, że chce, by wokół zapanowała cisza. Wszyscy zamilkli, domyślając się, co zaraz nastąpi.

- Dobrze, coś opowiem – rzekł gdy nikt już nie hałasował.

Odchrząknął i rozpoczął swą opowieść.

- Z racji tego, że są Święta, tradycyjnie opowiem wam powieść świąteczną. A więc posłuchajcie.

- Jak wiecie, w młodości, wielokrotnie podróżowałem. Zwiedziłem przeróżne mniej lub bardziej egzotyczne zakątki Ziemi. Trafiłem nawet do Arabii Saudyjskiej, czyli przebywałem w tak zwanej Azji Mniejszej. Długo by opowiadać jak przebiegała moja podróż, bowiem po drodze spotkały mnie przeróżne perypetie. Myślę, że to dobry temat na inną opowieść. Teraz tylko wspomnę, że trafiłem tam jako bartender, czyli tak zwany opowiadacz przeróżnych historii. Znam ich wiele, więc nie miałem problemu z wyszukiwaniem historyjek. Jedna wiąże się, z obecnymi Świętami.

Pewnego dnia przebywałem na miejscowym rynku. Szedłem sobie między kupieckimi kramikami i spoglądałem na wystawiony przez sprzedawców towar. Stoły kramarskie ugięły się od stosów egzotycznych owoców, gdzie indziej wonny zapach przyciągał człowieka do kolorowych przypraw Wschodu, były kramy z ubraniami, jakimiś figurkami, garnkami i przeróżnymi akcesoriami. Można tu było znaleźć właściwie wszystko, co tylko nadawało się do sprzedaży. Widziałem nawet domowe zwierzęta przeznaczone na targ. Kupcy pochodzili z przeróżnych zakątków chyba całego świata.

Ja jednak zmierzałem na obszerny plac w środku targowiska. Dotarwszy tam stanąłem, następnie z pietyzmem rozłożyłem na ziemi trawiasto zielony kwadratowy kocyk, który zabieram w każdą moją podróż. Jest to przydatna rzecz, może służyć do wielu rzeczy. Tym razem posłużył mi za miejsce do siedzenia. Usiadłszy na nim wygodnie, po turecku, wciągnąłem w płuca powietrze i wypuściłem je. W ten sposób przygotowałem się do rozpoczęcia mej opowieści. Zacząłem nawoływać, by chętni do jej wysłuchania stanęli wokół mego kocyka. Nie musiałem długo wołać, bowiem bardzo szybko zebrał się spory tłumek potencjalnych słuchaczy. Arabowie słyną z tego, że są zawsze chętni do wysłuchania ciekawego opowiadania.

Widząc ile ich jest zacząłem je snuć:

- Posłuchajcie mili Państwo. Jestem wędrownym bardem – derwiszem, przybywam z dalekiego egzotycznego kraju. W przeciwieństwie do Arabii, nie ma w nim pustyni i przez kilka miesięcy panuje zima. Tak, jest dużo chłodniejszy niż wasza pustynna kraina, lecz to bardzo piękny kraj. Na południu otacza go pasmo majestatycznych, wysokich pod sam nieboskłon gór, zaś północ ogranicza pasmo burzliwego, wspaniałego morza. Środek ta kraina ma mniej lub bardziej równinny, przez co niestety w przeszłości stawała się obiektem ataku sąsiadów. Ma żyzną urodzajną glebę i jest to dodatkowy powód ich militarnych zakusów, bogactwa naturalne też posiada. Lecz nie o tym kraju chciałem dziś mówić. Ma opowieść dzieje się w innej krainie. Nazwy jej już nie spamiętam, lecz nie jest ona aż tak ważna. W jej obręb wchodzi obszar szerokich stepów. Są one tak rozległe, że jak się na nie wjedzie, przez wiele tygodni wszędzie dookoła widać tylko równinę porośniętą wysoką trawą sięgającą aż po koński brzuch. Między jej łanami rozkwita różnokolorowe kwiecie, tworząc wielobarwne kobierce, z ich intensywnym zapachem łączy się woń ziół porastających wiele miejsc. W takich chaszczach mieszka wiele polnej zwierzyny. Jadąc konno nieraz słyszałem szelesty przesuwających się wokół zwierzęcych ciał. Czasem jakiś ptak z piskiem, czy głośnym niezadowolonym, lub może przestraszonym świergotem wyfruwał spod nóg wierzchowca i leciał wzwyż. Zdarzało się nieraz, że któreś zwierzę czmychnęło w pobliżu ukazując płowy sarni grzbiet, czy szarawe uszy zająca. Widziałem też stada dzików żerujących w pewnej odległości ode mnie, widocznych w miejscami przerzedzonej zielonkawo kolorowej gęstwinie.

Pod wieczór trafiłem na polankę z nieco niższej trawy, tu postanowiłem zatrzymać się na wieczorny spoczynek. Rozpaliwszy niewielkie ognisko, piekłem nad nim upolowanego wcześniej małego warchlaczka i słuchałem intensywnego nocnego śpiewu cykad. Pomyślałem sobie, że ten hałas chyba nie da mi zasnąć. Po zjedzeniu posiłku i zapiciu go gorącą aromatyczną herbatą zalaną ugotowaną nad ogniskiem gorącą wodą z metalowego imbryka, udałem się na spoczynek. Rzeczywiście, hałas jaki wywoływały cykady długo nie pozwolił mi zasnąć. W końcu, do cna wyczerpany, usnąłem niespokojnym, lecz głębokim snem.

Nie pamiętam co mi się śniło, może nawet nic, dość, że wstałem skoro świt. Zmęczony, niedospany, w złym humorze rozpaliłem ognisko i zabrałem się za parzenie porządnej porannej kawy. Miałem nadzieję, iż mocny, aromatyczny gorący napój rozbudzi mnie trochę. Spokojnie czekałem aż w naczyniu do parze-

nia kawy zagotuje się gęsty i czarny jak smoła, mile pachnący wywar, gdy w pobliżu zaszeleściła trawa.

- Co jest, u licha? – Mruknąłem patrząc w kierunku, skąd usłyszałem trzask.

Z zarośli wyszedł sporych rozmiarów zając i powoli kicał w moim kierunku. Odetchnąwszy z ulgą odłożyłem trzymaną na kolanach broń gotową do strzału myśląc sobie: „Dobrze, że to tylko zając. Co prawda jakiś dziwny.” Nie tyle same rozmiary mnie zdziwiły, co fakt, iż był śnieżnobiały i w jednej z przednich łap coś trzymał. Przyjrzałem się bliżej przedmiotowi i aż gębę rozdziawiłem ze zdziwienia, bowiem w prawej łapce dzierżył wiklinowy koszyczek i nie był on pusty. O nie, wręcz przeciwnie, wypełniony po brzegi. Widziałem równo ułożone, wystające brzegi pisanek, a w środku żółte kurczaczki z ciekawością wystawiające w górę swe małe łebki.

Ach, wy Arabowie, nie wiecie co to pisanki. Zaraz wam wyjaśnię. To są takie malowane na różne kolory jajka, często zdobione przeróżnymi wzorami. Ci, co byli w Europie mogli się z nimi zetknąć. Widzę, że niektórzy potakująco kiwają głowami, więc wiedzą, co to. Dobrze już dobrze, snuję dalej swą opowieść.

A więc miał ten koszyk. Zatrzymał się przed ogniskiem i jakimś takim inteligentnym wzrokiem spogląda na mnie. Myślę sobie: „O co mu u licha chodzi, czyżby coś chciał ode mnie? Gdyby umiał mówić ludzkim głosem, może byśmy się jakoś dogadali.” Jakież było moje zdziwienie, gdy po chwili zając odezwał się do mnie w te słowa:

- No i co tak rozdziawiasz tę gębę, zająca nie widziałeś?

- Zająca to ja widziałem, ale takiego z koszykiem i do tego jeszcze gadającego, to w życiu nie. – Odrzekłem, przy okazji zamykając rozdziawioną do tej pory gębę.

- Aha. – Odparł zając. – Dobrze, że chociaż zająca żeś pan widział.

- Ano widziałem, widziałem. Dlaczego zając gada i po co ci ten koszyk?

- Koszyk to koszyk, jest pełen przeróżnych smakołyków, pokażę ci.

Postawił koszyk na ziemi, podniósł kurczaki do góry.

- No, zobacz sam.

Spojrzałem, w koszyku naprawdę znajdowały się przeróżne smakołyki.

- A gadam dlatego, że gadam i tyle. A z koszykiem idę do ludzi. Niektórzy dziś mają święto, podczas którego dostają od zająca koszyk ze smakołykami.

- Ale ty masz tylko jeden koszyk.

- Tak? A rzeczywiście.- Zając podrapał się przednią łapką za długim lewym uchem. – Aha, ale ja idę do jednego samotnego człowieka, podobno gdzieś tu jest... Zaraz, to przecież ty! Właśnie do ciebie idę. Weź ten koszyk, dziś Wielkanoc, należy ci się.

Postawił przy mnie koszyk, następnie odwrócił się i pogwizdując z zadowoleniem pokicał w trawiaste

zarośla.

Na tym zakończyłem moją opowieść. Słuchacze stali przez chwilę niemo wpatrzeni we mnie, jakby oczekując dalszego ciągu opowiadania. Gdy on nie nastąpił, po chwili na kocyk posypały się monety, ludzie zaczęli klaskać i jeden przez drugiego chwalić, jak się to oni wyrazili, dobrą opowieść, szkoda tylko, że bajkową. Potem rozeszli się do swoich zajęć, ja zaś zebrawszy monety, zwinąłem kocyk i ruszyłem w dalszą podróż.

Zapomniałem dodać, że zając przykicał dokładnie w Święta Zmartwychwstania, ale, że słuchacze już się rozeszli, zrezygnowałem z tego.

Dzieci siedziały w ciszy przeżywając treść usłyszanego opowiadania.

- No dzieci, idźcie się bawić do innego pokoju. Teraz dorośli będą rozmawiać o swych nudnych sprawach.

Dzieci wyszły z salonu, a pozostali pogrążyli się w świątecznej rozmowie, zaś za oknem rozszalała się burza.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

swistakos, dodano 14.04.2015 21:50

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).